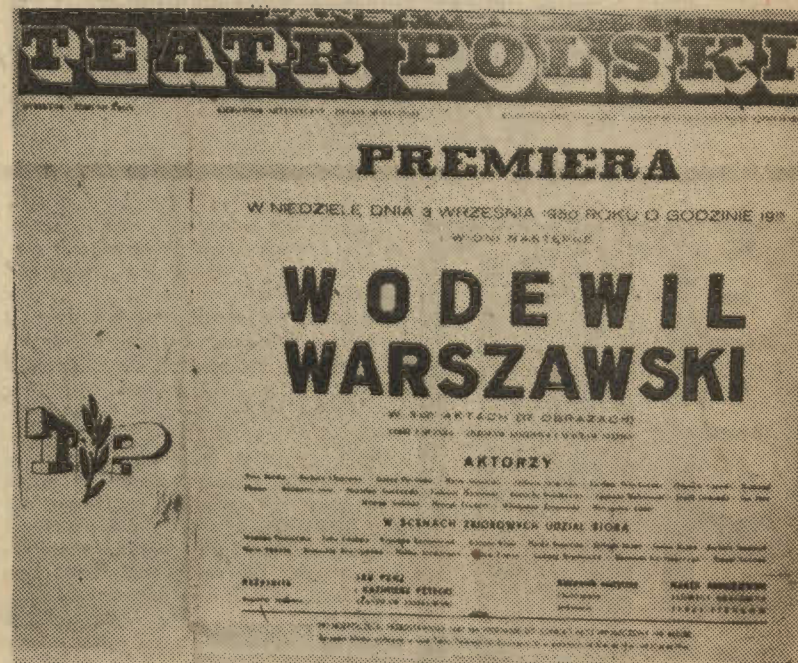


Dawnych wspomnień czar... czyli szczeciński „Wodewil warszawski” przed ćwierćwieczem



Niejedno z dzieł teatralnych naszej i światowej literatury przeżywa swe kolejne narodziny w coraz to innych, nieraz odkrywczych inscenizacjach, zyskując so bie trwałe miejsce wśród „klasyki” – tej szeroko pojętej ponadczasowej. Autorzy „Wodewilu warszawskiego” na pewno nie rościli sobie pretensji do umieszczenia ich wspólnego dzieła w teatralnym Panteonie – ono jednak po wraca na sceniczne deski teatru i ekran y telewizji, przypominając minione cza sy trudu, nadziei, radości...

Z okazji ponownego pojawienia się „Wodewilu warszawskiego” w szczeciń skim Teatrze Polskim chciałbym przy pomnieć Czytelnikom jego inscenizację sprzed bez mała ćwierćwiecza, jako jej przypadkowy wprowadzie i skromny, ale jednak współtwórca. A jak to było wów czas – w miarę dopisującej pamięci o powiem.

Wiosną 1950 roku pracowałem w ad ministracji Teatru Polskiego, interesu jąc się wszelkimi przejawami jego dzia łalności i zarazem wszystkimi działaniami teatru, jego „kulisami”. Szczecin i teatr opuszczał właśnie jego kierownik arty styczny, Zbigniew Sawon, a następcą

miał zostać Hugo Moryciński. Kierownik muzyczny Teatru Polskiego, określony na załączonym afiszu jako Marek Andrzejewski a tak dobrze i szeroko dziś znany dyrygent i kompozytor Andrzej Markowski, diablo wszechstronnie uzdolniony, napisał natenczas dłuższe dzieło wier szowane, naspikowane najrozmaitszymi „bonmotami”, aluzijkami i złośliwostka mi, z którego to dzieła zapamiętałem jedynie sceptyczne słowa: „...Po Zbigniewie przyszedł Hugo – nie wiadomo na jak długo...” W tym okresie krótkie go interregnum (nie umieszczając roli nadal działającego dyrektora Edmunda Krona) gorączkowo przygotowywano na zakończenie sezonu nieoficjalną pre miere „Wodewilu warszawskiego”, któ rego ówczesnej aktualności, świeżości i wdzięku nie ma chyba potrzeby uzasad niać – zwłaszcza, że stolica była nim całkowicie zauroczona. I oto dwaj znani szczecińscy aktorzy, którym powierzono inscenizację – Kazimierz Petecki i Jan Perz stanęli przed problemem nieocze kiwanym: dla nie znanych mi w ogóle powodów obaj bracia Kiss-Orscy, „nad worni” wówczas scenografowie szczecińscy nie mogli podjąć się zaprojekto wania i nadzoru autorskiego dekoracji do wodewilu, w którym tych dekoracji

i tzw. „przystawek” jest przecież bar dzo dużo.

Zdesperowani reżyserzy zwrócili się do mnie, „outsidera” z wielką prośbą (i chyba nie mniejszym zaufaniem), by de cydować się natychmiast. A moje kwa lifikacje w tym zakresie były niewielkie: to zaledwie „liżnięta”, tuż przed wojną architektura na Politechnice Warszaw skiej. Zagrała jednak ambicja i, zgodzi łem się. Natychmiast przystąpiłem do pracy. Bardzo pomagał mi w niej dobrą radą stolarz-aktor Florian Wolny i inni jego koledzy, bardzo też pięknie wzboga cilił swymi pomysłami – zwłaszcza Tra sę W-Z – elektrycy, Marian Waśko i Michał Kłym. Lecz właśnie tę Trasę W-Z, tak szczerze nagradzaną oklaskami przy rozsuwaniu kurtyny (jak mocno biło wówczas serce domorosłego scenogra fa!) wykonywałem sam, w żmudnej, cy zelatorskiej technice – zgola nie teatral nej, lecz raczej w formie rozbudowanej makiety architektonicznej z perspek tywicznymi skrótami, oświetlonej miniatu rowymi lampkami, które jarzyły się pe dobnie jak wielki księżyc w pełni na tle letniego, granatowego nieba. A wszyst ko to robiłem z papieru, nie świadom tego, że wlotkie „mury” czeka ponad sto przedstawień na małej scenie o rów

nie małym zapleczu. Jak to wszystko, kruche i nietrwale, przetrwało tę rekor dową ilość przedstawień mogą wiedzieć jedynie ludzie najcierpliwi – maszyniści teatralni, którzy w wodewilu uwijali się jak w przysłowiowym ukropie. Natabene i oni mieli swoje drobne radości – czy pamiętacie starsi nieco Czytelnicy scen kę w tramwaju? Ten „przekrojony wzdłuż” wehikuł poruszał się na pro scenium jak dawny magiel na drewn ianych wałkach (oczywiście niewidocz nych dla widza). Akcja sceniczna i sy tuacja wymagały, by tramwaj sunął ka pryśnie po szynach. Co się wówczas działo, opowiedzieć mogą przede wszy stkim aktorzy i statysci, którym nawet tramwajowe, luźno zwisające uchwyty nie pozwalały utrzymać niezbędnej rów nowagi...

Nie wiem, jak to wygląda obecnie, nie byłem jeszcze na tegorocznej insce nizacji – może chciałbym jak najdłużej zapamiętać tamtą, niezapomnianą. Nie pozostały mi żadne zdjęcia i bardzo te go żałuję. Pozostała mi natomiast o biektowna, rzeczowa i sumienna, jak każda inna, recenzja Feliksa Jordana.

I na zakończenie tych wspomnień i wspominkowych refleksji jeszcze jedna, ostatnia. Czyż ówczesne afisze teatralne

nie wyglądają tak, jak powinny by one wyglądać obecnie? I odwrotnie, dła cze go te nasze dzisiejsze są takie nijakie, sztaprowe „symetryczne”, z tytułami sztuk „wybijanymi” najbrzydszą czcion ką, jaką posiadają Szczecińskie Zaka dy Graficzne? Czy nie warto by unowocześnić Szczecin i w tym także za kresie?

JERZY PIENKOW

P.S. Tokowałem jak gluszec – a prze cięż nie piszę nic o aktorach, adepta ch, ich znakomitej grze, śpiewie, tań cach... Zechciej mi jedynie uwierzyć, młodszy Czytelniku – tym wodewilem cieszył się wówczas cały Szczecin oraz okolice bliższe i dalsze. Jak różne zresztą potoczyły się później losy poszczególnych wykonawców i osób, wymienio nych w tym afiszu. Z tego grona „wy wiedli się” nie tylko znakomici aktorzy, lecz także pani doktor i pani inżynier i dyrektor Wrocławskiej Filharmonii i wy bitny pisarz no i oczywiście ten wspom niany już świetny dyrygent. Pożegnali nas też na zawsze niektórzy z pozosta łych... Lecz my, żyjący na pewno w miarę sił „Budujemy nowy dom...”

LP.